



Zdzisław Jarzębowski

Sygnatura notacji: **N0337**

Data urodzenia: **09.05.1958 r.**

Data nagrania: **04.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Jarzębowski: Nazywam się Zdzisław Jarzębowski. Urodziłem się 9 maja 1958 roku we Wrocławiu, gdzie mieszkałem do 33. roku życia. Oboje rodzice, Tadeusz i Wanda mieli, mają wyższe wykształcenie uniwersyteckie. Na początek chciałbym kilka słów poświęcić sylwetce mojego dziadka, Jana Jarzębowskiego, który miał spory wpływ na moje wychowanie, choć sobie wtedy z tego oczywiście nie zdawałem sprawy. Urodzony w 1898 roku, już jako student ówczesnego liceum, był członkiem tajnego pomorskiego koła filomackiego. Powoływany do wojska niemieckiego został ranny i skorzystał z okazji, aby zdezerterować. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, został ciężko ranny, mianowany do stopnia podporucznika, po czym służył w Korpusie Ochrony Pogranicza i przed drugą wojną został przeniesiony w rejon Gdyni, gdzie brał aktywny udział w obronie Oksywia. Został ciężko ranny, wzięty do niewoli i do oflagu, a następnie zwolniony z powodu trwałego inwalidztwa. Tym niemniej, mieszkając nadal w Gdyni, rozpoczął działalność konspiracyjną, która zakończyła się aresztowaniem przez gestapo w 1943 roku, po czym został zesłany do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Przeżył obóz i po wojnie osiedlił się już na stałe w Gdyni, gdzie uczestniczył w organizacjach kombatanckich. Mogę powiedzieć anegdotkę, niestety nie brałem w tym udziału. Na jego weselu, jego żona miała na imię Bronisława, któryś z członków rodziny powiedział: „Chciałem teraz wnieść toast za Jana, prawdziwego wojaka, który zawsze z bronią ma do czynienia”. Tak. Jeszcze dodam, że z naszej inicjatywy, ponieważ ja wtedy mieszkałem we Wrocławiu, brał udział w lekcji historii, gdzie jako świadek historii, świadek II wojny i więzień obozu koncentracyjnego, więc to też było przeżycie dla nas wszystkich w szkole podstawowej. I teraz patrząc z perspektywy czasu, przez co przeszedł, wiadomo – dwie ciężkie kontuzje, przede wszystkim obóz koncentracyjny, zdumiewa mnie teraz jego optymizm i kultura osobista. Podam jako przykład, do dzisiaj to pamiętam, kiedyś trafiła mi w ręce, oczywiście wtedy nie wiedziałem wiele lepiej, jakiś kryminał, gdzie opisy-

wano w bardzo różowych barwach działalność Urzędu Bezpieczeństwa, który z narażeniem życia bronił i tak dalej, i tak dalej. Więc jak dziadek to zobaczył, mówił, że: „Zdzisław, Urząd Bezpieczeństwa niekoniecznie wyglądał tak, jak to jest tam opisane w tej książce i miał trochę inne cele”. I na tym skończył, dał mi dużo do myślenia i zacząłem drążyć temat, oczywiście na ile to było przy wszechobecnej cenzurze możliwe, no ale tak mniej więcej powoli zaczęła się kształtować moja postawa do świata, otaczającego mnie świata. Mój tato był bardzo powściągliwy i skromny. Nie narzucał swoich poglądów, ale raczej działał na zasadzie, przez osobisty przykład, krótko mówiąc zakładał, że ludzie sami wyciągną wnioski, jak działać. Nie korygował niczego, z wyjątkiem sytuacji bardzo ekstremalnych. Wiem tylko, że wstąpił do PZPR-u po ukończeniu studiów, ale bardzo szybko wystąpił, oczywiście używając swojej logiki i obserwując, co się dzieje. Wystąpił chyba w okolicach roku 1968. I następnie widać było, że go bardzo interesuje świat i stara się wyciągnąć wnioski. W związku z czym nasze radyjko tranzystorowe było notorycznie nastawione na, no, Polskie Radio to rzadko na BBC, Radio France Internationale, Głos Ameryki i wszystko inne, czego można było słuchać. Tak że tutaj też nie narzucał mi swoich poglądów, ale zawsze słuchałem wiadomości z tych wszystkich różnych źródeł, które oczywiście różniły się zasadniczo, od tego, co można było wtedy widzieć w telewizji polskiej. Rozpocząłem studia na Uniwersytecie Wrocławskim na kierunku informatyki w 1977 roku i wtedy byłem otwarty na świat. I oczywiście wszyscy widzieli absurdy, znaczy prawie wszyscy widzieli absurdy otaczającej nas rzeczywistości, ale dodatkowo na pewno pomogło nam wszystkim wybór Jana Pawła II na papieża. To było wielkie przeżycie dla wszystkich. W szczególności ja do dzisiaj pamiętam, wtedy specjalnie pojechaliśmy do Poznania i widziałem papieża z odległości kilkuset metrów przyjeżdżającego w otwartym, jeszcze wtedy otwartym samochodzie. To było wielkie przeżycie dla nas wszystkich. No i nadszedł rok 1980. Solidarność. Oczywiście jako student, to był ruch, który został zainicjowany na trochę innym szczeblu, jako student bardzo to przyjęliśmy pozytywnie. Między innymi mój serdeczny przyjaciel ze studiów, Piotr Krukowski, od samego początku zaangażował się w struktury Niezależnego Zrzeszenia Studentów [NZS]. No wtedy miał miejsce strajk okupacyjny. Próbowaliśmy przyspieszyć rejestrację, którą władza opóźniała jak tylko mogła. W tym strajku brali prawie wszyscy. No to wtedy było jeszcze bezpiecznie, bo to były lata przed stanem wojennym. Oczywiście wszyscy czytali z wypiekami prasę solidarnościową, „Tygodnik Solidarność”, i pamiętam, że doszło nawet do takiej sytuacji, kiedy w lokalnym kiosku „Ruchu” można było kupić „Biuletyn Dolnośląski” wydawany w tym czasie poza cenzurą, co było absolutnym ewenementem. Bo tutaj trzeba przypomnieć młodszym słuchaczom, jak wyglądała rzeczywistość w tym czasie. W tym czasie były dwa programy telewizyjne i wszystkie emisje radiowe, telewizyjne i drukowane były pod ścisłą kontrolą Głównego Urzędu Kontroli Publikacji Pras i Widowisk, i nic co odbiegało [co odbiegało] od oficjalnej linii nie mogło być wydrukowane. Tu nie było od tego wyjątków. Więc dlatego też takim ewenementem było, że gdzieś można było oficjalnie zobaczyć tak zwaną bibułę, czyli prasę wydawaną poza oficjalnym obiegiem z pominięciem cenzury. No więc to było takie preludium do tego, co się stało. Oczywiście wiemy, co było dalej. Stan wojenny, 13 grudnia. Ponieważ ja, i to było moje motto przez następne 10 lat, powiedziałbym, nie byłem na świeczniku, nie pchałem się do żadnych struktur organizacyjnych, nie byłem w tym szczególnie jako przewodniczący, albo coś takiego, po prostu uczestniczyłem z tyłu, aktywnie uczestnicząc, w związku z czym uniknąłem losu około 10 tysięcy Polaków, którzy zostali internowani, włączając mego przyjaciela Piotra. No, co, oczywiście, tym niemniej wszyscy mieliśmy tę samą rzeczywistość przed oczyma, czyli stan wojenny, godzina policyjna, jednostki ZOMO na ulicy, wyłączone telefony i poczucie beznadziejności, bo w tym momencie nie wiadomo, co dalej. Tym niemniej powiedziałbym, że w ciągu kilku dni od wybuchu stanu wojennego, do moich drzwi zapukał mój kolega ze studiów, Paweł Falicki, o którego właściwej roli w [później-

szych]strukturach „Solidarności Walczącej” dowiedziałem się chyba 15 lat później, który przyniósł paczkę bibuły i powiedział: „Słuchaj Zdzichu, czy masz wystarczającą liczbę osób do rozprowadzenia tego?”. Powiedziałem: „Oczywiście”. Jeszcze trzeba tutaj dodać, że razem z wprowadzeniem stanu wojennego zostały wprowadzone nowe drakońskie przepisy prawne, na mocy których dystrybucja bibuły groziła karą pozbawienia wolności w zależności od humoru prokuratora do dwóch albo pięciu lat, nie mówiąc już o produkcji, przygotowaniu i aktywnej organizacji. No więc pamiętam te opory, kiedy trzeba było pokonać strach to jedna rzecz, ale podjąć decyzję. Na przykład mieliśmy sąsiadów po drugiej stronie naszego korytarza, z którymi zawsze wymienialiśmy tylko zdawkowe „Dzień dobry” i tak dalej. Więc postanowiłem, no, zaryzykujemy. Zadzwoiłem, powiedziałem, czy chcą trochę bibuły. Bardzo się ucieszyli i powiedzieli, dziękują za zaufanie. Ale to wiadomo, i tak na tym polegało, władzy zależało na tym, żeby ludzie się bali, żeby nie kontaktowali się ze sobą, żeby nie ufali sobie i to trzeba było właśnie przewycięzać. No i bibuła była jednym z tych składników, który nam bardzo pomagał. I tak się zaczęło, ale to dopiero był początek całej lawiny śnieżnej, bo ja mogę powiedzieć, że od tego czasu Paweł stał się moim koryfeuszem. Mimo, że sam do końca, do dnia dzisiejszego minimalizował swoją rolę, powiedział, że on po prostu robił to, co należało w tym czasie. No i to był dopiero początek. W tym czasie w podziemiu wrocławskim działał Regionalny Komitet Strajkowy z ukrywającym się Władkiem Frasyniukiem, który w tym czasie był wielkim symbolem i to była postać, która podtrzymywała ludzi na duchu: „Tak, on jeszcze się ukrywa”. Ale Paweł był związany bardziej z grupą Kornela Morawieckiego i po jakimś czasie doszło do różnicy poglądu na temat co dalej, jak wyjść z tego impasu, jak pchnąć sprawy naprzód. I sugestie takie, że formą oporu będzie wyłączenie telewizji albo włączanie lampek w nocy na oknie, no nie przemawiało do wyobraźni Kornela, który powiedział, że to nie jest droga, że tu trzeba coś robić, coś więcej, łącznie z manifestacjami, aktywnie pokazać światu, że my się na to nie zgadzamy. W efekcie, jak wiemy, „Solidarność Walcząca” wyodrębniła się jako samodzielna jednostka organizacyjna. Dopiero, jak tak mówię, niedawno się dowiedziałem, że Paweł był jednym z tych, którzy doprowadzili do jej zawiązania się. Ja natomiast nie byłem członkiem, wspomagałem i byłem cały czas sympatykiem organizacji. Któregoś dnia Paweł przytargał do mojego mieszkania na Popowicach składopis, czyli elektroniczną maszynę do pisania i powiedział: „Zdzichu, to jest coś, co nam bardzo pomoże w przygotowywaniu matryc do produkcji niezależnej prasy, bo w przeciwieństwie do maszyny do pisania, to można przygotować tekst, poprawić go i dopiero później wydrukować, bo inaczej wszystkie błędy są widoczne”. Mówi: „Ale jest jeden problem. Nie mamy żadnego office’u, nie wiemy, jak to działa. Mamy kilka egzemplarzy, nikt nie wie, jak to robić”. No, ja jako aspirujący informatyk powiedziałem: „No dobrze, podejmę się zadania” i po kilku nocach przygotowałem instrukcję obsługi, która, jak się okazuje, była bardzo cennym narzędziem dla wszystkich, którzy mieli te składopisy, bo to była, w obecnym to można by powiedzieć, to był taki pionierski, mały komputer z wewnętrzną pamięcią, gdzie można było tekst przechowywać, poprawiać, nanosić, można było wymieniać głowicę do drukowania, tak że to była, no, na owe czasy, to znowu trzeba przypomnieć, że mamy do czynienia w latach 80., kiedy nie było jeszcze komputerów osobistych, kiedy nie było telefonów komórkowych i komputery inne dopiero wchodziły na rynek, to była prawdziwa rewolucja. Więc to na pewno nam pomagało, więc ja byłem jednym z tych, którzy przygotowywali te matryce i muszę powiedzieć, że tutaj tato, jak zwykle nic nie mówił, wszystko wiedział, co się działo, ale udawał, że nic nie widzi, ale jeżeli można było pomóc, to pomagał, więc w którymś momencie stwierdziliśmy, że byłoby bezpiecznie, na przykład robić te rzeczy poza domem, w związku z czym na taty miejscu pracy były bardzo dyskretne pokoiki, gdzie można było to ustawić, nikt o tym nie wiedział, nikt nie wiedział, do kogo to należy, no i tak to działało. Oczywiście trzeba było cały czas zachowywać ostrożność, ponieważ pamiętam taką sytuację,

chyba tydzień po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy odwiedziłem moją świętej pamięci ciocię i godzina policyjna się zbliżała, była dosłownie minuta do godziny policyjnej, a ja ciągle byłem uwięziony na przystanku autobusowym. Przechodził patrol policyjny, ja miałem pod pazuchą kilkanaście egzemplarzy bibuły. Gdyby w tym momencie podeszli do mnie, zażądali dokumentów i obejrzeni, to byłoby po mnie, ale na szczęście wyglądałem jak zmieszany z tłumem, jak ktoś wychodzący z pracy z Pafawagu i wszystko się rozeszło w kościach. Ale to oczywiście są takie, to jest ta specyfika stanu wojennego. Znowu dla przypomnienia kontekstu dla młodszych słuchaczy, papier, czysty papier był produktem, który był raz niedostępny, a dwa, każdy, który próbował go kupić, był traktowany jako podejrzany przestępca. Więc w tym temacie mam kilka, teraz patrząc, zabawnych anegdot. W 1982 roku, przy jakiejś okoliczności byłem w Kotlinie Kłodzkiej. Oczywiście we Wrocławiu w sklepach tego papieru nie było. To było celowe działanie zresztą. W Kotlinie Kłodzkiej wchodząc do papierniczego jest jedna, kilka ryz papieru, więc żeby się nie wyróżniać, proszę o jedną ryzę. A pani mówi: „Dobrze, ale wie pan, mamy przepisy, musimy spisać personalnie osoby, które kupują te ryzy”. Więc ja oczywiście jako kompletny amator, szczerwieniłem na twarzy. Pani już wiedziała, o co chodzi, podałem adres, jakiś tam Adam Jaworski z Kłodzka. Pani mi dała papier, zapłaciłem, wyszedłem. Później dowiedziałem się, parę tygodni później, że mój kolega pojechał na Pomorze, wszedł do papierniczego i mówi: „O, ma pan papier, mogę prosić tę ryzę?” A sprzedawca nachyla się: „A chce pan więcej?” Krótko mówiąc, sprzedawca był właśnie też takim sympatykiem, wiedział, że nikt nie potrzebuje pięciuset kartek na użytek domowy i chciał pomóc w ten sposób. No, później dowiedziałem się, że „Solidarność Walcząca” miała bardzo wyrafinowane metody, kiedy organizowano zamówienie na pół wagonu papieru, na fikcyjne papiery, na fikcyjną firmę i to wszystko jakoś przechodziło, oczywiście wtedy nie było elektronicznego systemu, tak że nie można było zweryfikować wszystkiego, ale każda taka ryza się liczyła, bo „Solidarność Walcząca” używała dziesiątki ryz, jeśli nie setki w ciągu tygodnia. Liczba tych wydawnictw była na ówczesne czasy i na sytuację była oszałamiająca, bym powiedział, jak teraz o tym wszyscy myślimy. Więc tyle w temacie w chwili obecnej. Jeszcze wracając do przygotowywania matryc, otóż ten składopis, trzeba tutaj też wspomnieć, że miał dodatkowe możliwości techniczne, wymianę głowicy, która mogła być albo zwykłym pismem, albo pochyłym, albo cyrylicą, albo większą czcionką, albo mniejszą czcionką. Tak że na ówczesne czasy to teraz oczywiście to wszyscy uważamy, że to jest normalna sprawa przy używaniu komputerów, ale wtedy to była absolutna rewolucja techniczna. No tutaj pamiętam, to może przytoczę przezabawną anegdotkę, którą Kornel Morawiecki opisał w swojej autobiografii, kiedy oni dostali, zepsuła im się taka głowica i dostali jakimiś swoimi kanałami z zagranicy zamienioną, ale w mieszkaniu, w którym się ukrywał zostawił na stole i gospodyni, myśląc, że to jest jakiś śmieć owinięty w papier, wyrzuciła go do kosza. Więc następnego dnia bladym świtem, Kornel spędził godzinę przeglądając wszystkie zsypy, aż w końcu znalazł tę głowicę w jednym ze zsyków i odzyskał cenny... Właściwie bez tego produkcja mogłaby się zatrzymać, produkcja matryc. Więc tyle może byłoby w temacie póki co odnośnie przygotowywania publikacji. Teraz inne tematy. Może tak, też dla przypomnienia, czy dla doprecyzowania. Struktury podziemne miały formę, teraz to modne określenie jest, fraktalną, albo można też o tym pomyśleć jako bardzo rozwinięte drzewko, gdzie każdy tylko wiedział, kto przychodzi od [do] niego z góry, ale nie miał blado go pojęcia, co się dzieje dalej, kto za tym stoi i ile osób wykonuje robotę podobną do niego. Więc tak samo było z Pawłem. On po prostu rzucał temat ja byłem następnym ogniwem i sprawa się dalej rozwijała i tak samo ja, kiedy miałem swoich podwykonawców, też nie wnikałem, kto to jest, po prostu ufałem osobom, które się ze mną kontaktowały. Tematem, który nie wymagał takiej fraktalności w tym momencie, to była emisja audycji radiowych, które nasze mieszkanie z uwagi na dziesiąte piętro na Popowicach było świetną lokalizacją. No więc kilka audycji zostało wy-

emitowanych z naszego mieszkania. Polegało na tym, że na ogół dzień wcześniej sprzęt został przyniesiony do naszego mieszkania z kasetą magnetofonową, tak, to były te czasy, kiedy nic nie było cyfrowego, i te audycje były na ogół krótkie, pięciominutowe, głównie z uwagi na obawę przed dekonspiracją, bo..., ponieważ Służba Bezpieczeństwa używała radiopelengacji, aby namierzyć te miejsca. No pamiętam też taką przepyszną anegdotkę, kiedy moja sąsiadka, która mieszkała na siódmym piętrze, 150 metrów od nas, jak ją spotkałem dwa dni później, mówi: „Zdzichu, słyszałeś? Była audycja Solidarności, świetny odbiór”. Mówię: „Tak? U mnie też był dobry”. Więc to było, oczywiście nie mogłem nawet mrugnięciem oka zdradzić, że słyszała tak dobrze, bo to było 80 metrów od niej, z mojego mieszkania. No ale to, to ja, natomiast za trzecim razem już musieliśmy bardzo uważać i ja obserwując otoczenie zauważyłem, że sąsiednią ulicą bardzo powoli porusza się nyska cywilna. No było oczywiste, że była to radio radiopelengacja, no i w tym momencie audycja przerwała się minutę przed końcem, żeby uniknąć otoczenia budynku i tam przeszukiwania. Więc to było odnośnie audycji radiowych. Bardzo ważną organizacyjnie rzeczą, która była dopracowana w szczegółach przez „Solidarność Walczącą” był nasłuch działalności komunikacji radiowej Służby Bezpieczeństwa. I to było dopracowane do takich szczegółów, że były specjalne osoby, które się nigdy niczym nie zajmowały, tylko odsłuchem tychże częstotliwości. Ponieważ były to częstotliwości niedostępne dla jakiegokolwiek odbiornika produkowanego wówczas w PRL-u, potrzebne były albo jakieś specjalizowane skanery przywożone z zachodniej Europy, albo wyrób domorosły, nazwijmy to. I ja zasugerowałem Pawłowi, że znam osobę, która prosiła o nieujawnianie jej personaliów, do dnia dzisiejszego, ma obawy, czy może się tego tematu podjąć. I było to pionierskie zadanie, ponieważ chodziło o to, żeby wyprodukować sprzęt, który będzie niezawodny, który będzie robił to, co robi i żeby można było go wyprodukować z elementów, które można kupić w sklepie, bez uciekania się do elementów elektronicznych, które mogą wskazywać na to, co kupujący chce robić. Nie można było kupić elementu specjalizowanego, trzeba było kupić pięć prostszych i zastąpić specjalizowany tymi pięcioma prostszymi. I ta osoba, którą dobrze znałem, społecznie to wszystko zaprojektowała, częściowo sfinansowała zakup z własnej kieszeni. No i oczywiście cała robocizna była też za darmo i te skanery były bardzo wydajne. One miały połączenie z magnetofonem, można było określić zakres częstotliwości, który chce się skanować, żeby chwycić rozmowę, można było zatrzymać i wznowić pracę magnetofonu. Tutaj kolejna anegdotka. Otóż mój znajomy, pracując nad pierwszym prototypem, kiedy nie wiedział dokładnie jeszcze, jaka częstotliwość wchodzi w grę, mówi: „Zdzichu, ja tu słyszę naszego sąsiada, który gdzieś tam jest w promieniu 30 metrów”. Okazuje się, że to był działacz Solidarności, któremu Służba Bezpieczeństwa zainstalowała podsłuch w telewizorze. Więc on słyszał dokładnie, co się działo w mieszkaniu tego kolegi i to była dodatkowa zaleta. Przekazując informację Pawłowi, on był w stanie zlokalizować nazwisko tej osoby i powiedzieć jej: „Słuchaj, wiemy na 100%, masz podsłuch w mieszkaniu”. I też druga anegdotka. Tych skanerów zostało wyprodukowane około pięciu i któregoś dnia mój przyjaciel, ja przechodzę do niego na herbatkę, opieprza mnie, mówi: „Zdzichu, co wy robicie? Widziałem w głównym wydaniu dziennika lokalnej wiadomości, gdzie Służba Bezpieczeństwa chwali się jakimiś aresztowaniami i jeden z moich skanerów jest w ich rękach teraz...”, mówi, „...jak to?”. No, ale na szczęście pozostałe przetrwały zawieruchy stanu wojennego i z tego, co wiem, to jeden z nich jest nawet obecnie w Muzeum Zajezdni Tramwajowej we Wrocławiu. Jeszcze dodam, że ponieważ jest to urządzenie elektroniczne, który jako takie jest bardzo podatne na wszelkie fale elektromagnetyczne z zewnątrz, wymagało solidnej obudowy i tutaj uruchomiłem swojego innego przyjaciela, który załatwił takie obudowy, wykonane w bardzo solidny sposób na Politechnice Wrocławskiej. Nie wiem kto, nie wiem jak, ale po prostu to się stało. No więc to była nasza cegiełka do nasłuchu, który uratował skórę wielu osobom, ponieważ było wiadomo, dzięki temu nasłuchowi,

kto jest w orbicie zainteresowania Służby Bezpieczeństwa, czy dane mieszkanie jest w tej chwili obserwowane. Oczywiście to była zabawa w kotka i myszkę, bo Służba Bezpieczeństwa zmieniała hasła, to nie było szyfrowane, ale zmieniała hasła, używała najróżniejszych wymyślnych nazw na geograficzną, strefę geograficzną [niezrozum.], ale to wszystko można było, z tego, co wiem domyślać się w którymś momencie. To tyle odnośnie radiopelengacji. Teraz kolejna rzecz, która może być wydawać się wręcz trudna do zrozumienia dla obecnego słuchacza, to była produkcja znaczków z tematyką solidarnościową. Możemy powiedzieć, no, jaka jest wartość tego. Ja bym to porównywał na tym samym poziomie, co niezależna prasa. Po pierwsze to był dostęp do informacji, która była kompletnie niedostępna w inny sposób, ale to również była forma oporu społecznego. Było bardzo często odwagą noszenie takiego znaczka w miejscu publicznym. I zaczęło się wszystko od przyznania Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie, kiedy to, to już nie pamiętam, czy to była moja inicjatywa, czy to Paweł też wtrącił, że może by coś takiego zrobić. Była to również metoda na zdobywanie funduszy, ponieważ wszystko kosztuje, za wszystkie te rzeczy trzeba było płacić. Te znaczki były oczywiście formą składki na podziemie. Ja w tym momencie skontaktowałem się, już nie wiem jak to wypłynęło, z moim dawnym sąsiadem, Radkiem Kuskowskim i on powiedział: „Słuchaj, Zdzichu, ja znam ludzi, którzy mogą ten temat pociągnąć”. Później okazało się, że jak przyszło co do czego, to niektórzy z nich powiedzieli: „Nie, ja nie chcę stracić biznesu, nie chcę pójść do więzienia”, więc on wręcz powiedział: „Dobrze, to ja od ciebie kupię wtryskarkę i przejmę produkcję od ciebie”. – „Okej”. I w wielu przypadkach to była też ich forma wsparcia, albo dawali ten sprzęt za darmo, albo po kosztach własnych. I zaczęło się od, oczywiście od znaczka z Lechem Wałęsą, który... Później sprawa poszła dalej, były znaczki z Władkiem Frasyniukiem, z Bednarzem, z Piniorem, z Modzelewskim i według szacunków mojego kolegi, który zajmował się całą produkcją i to były bardzo, bardzo, proces był następujący. Powstawał projekt, który wykonał mój znajomy, absolwent Akademii Sztuk Pięknych. Następnie projekt został uwieczniony w formie negatywów, następnie ktoś te negatywy powiełał, następnie szło to do produkcji znaczka papierowego, a niektóre były na mosiężnej płytce, i następnie produkt końcowy był dystrybuowany. Tych znaczków powstało, tak na moje oko, niektóre były też na szpilce. Tych znaczków powstało na moje oko, według szacunku mojego przyjaciela, około 10 tysięcy w sumie. Niestety jakiś ułamek z tego.., a to może ten temat poruszymy później, bo chciałem powiedzieć, że niektóre zostały przejęte przez Służbę Bezpieczeństwa. I teraz tak, na przykład tutaj też patrząc z perspektywy, mnie zdumiewało, jak wiele osób pomagało, jak dużo ryzykują. Na przykład mój kolega ze studiów, Tadek Daleczko, który miał kilkumiesięczną córkę w domu, pomagał w przygotowaniu tychże fotografii, które były składnikiem do przygotowania znaczka, jak również później powiedział mi, że kiedy był gotowy produkt, trzeba było tylko już spiąć agrafkę, więc agrafka była podgrzewana na palniku elektrycznym w kuchni i on w przerwach, jak karmił dziecko, to przyklejał te agrafki do znaczka i później gotowy produkt mi przekazywał na uczelni, a ja go przekazywałem komu trzeba i tak to szło. Więc te fraktale widać, były bardzo rozbudowane. Mój przyjaciel Radek powiedział, że on dla bezpieczeństwa, produkcja odbywała się w jakimś niewykończonym domu na Wojnowie, tak żeby właśnie widać, że zachowywał przepisów BHP znakomicie, ponieważ nie wpadł. Tu też taka anegdota, żebyśmy nie chlapnęli żadnymi nazwiskami przy jakiegokolwiek rozmowie, powiedział: „Słuchaj, Zdzichu, ty nie jesteś Zdzicho, ty jesteś towarzysz Jesionka”. No, więc ja... Dopiero mi przypomniał bardzo niedawno, skąd się ta ksywa wzięła. Otóż okazuje się, że w szkole podstawowej, czego już w ogóle nie pamiętałem, kiedyś tato dostał z drugiej ręki jakąś jesionkę, która tak nie bardzo mi pasowała, więc zapytałem jego kolegi: „Słuchaj, czy jak przyjdę z tym do szkoły, to będzie okej?”. Powiedział: „Jak najbardziej, towarzyszu Jesionka”. No i tak to się zaczęło. Oczywiście i to była też metoda działania „Solidarności Walczącej”, żeby jeżeli trzeba było porozumiewać się przez telefon,

to trzeba było używać kontekstu, którego Służba Bezpieczeństwa nie mogła złamać. Na przykład: „Słuchaj, umówmy się tam, gdzie ja chodziłam po szkole podstawowej na lody”. No oczywiście to jest kod nie do złamania w tym momencie, więc to był tylko kolejny przykład. Tu moja ksywa z podstawówki, kiedy to było używane 10 lat później, kiedy ja już sam zapomniałem o tym określeniu. No i jak już przechodzimy do ksywy, to w którymś momencie, ponieważ te informacje przechodziły do mnie i ode mnie z różnych źródeł, w którymś momencie dotarła do mnie łączniczka Kornela Morawieckiego, Iga Jerzmańska, i z powodów logistycznych musiałem często do niej zaglądać i któregoś dnia przychodzę, a kto tam jest w mieszkaniu? Kornel Morawiecki. Więc miałem przyjemność się spotkać z Kornelem na stopie, tak bardzo krótko i tam też, żeby nie wymieniać żadnych nazwisk, imion, powiedziano mi: „Słuchaj, jeżeli będziemy musieli jakieś tematy omawiać, to od dzisiaj ty jesteś mały Zdzicho, a Kornel jest duży Zdzicho”. No i tak było właśnie. Duży Zdzicho, mały Zdzicho. Tego typu rozmowy były. Czasami to dochodziło do sytuacji komicznych, kiedy ja, bojąc się wypowiedzieć, że moja ciocia wzięła jakąś bibułę, powiedziałem: „Pewien członek mojej rodziny”. I już mi zaczęli wypominać moi znajomi, że to już jest niepotrzebne, bo oni mnie znają i ja nie muszę się przed nimi konspirować. Ale to były takie czasy, kiedy jedno nierozważne stwierdzenie mogło zaprowadzić ludzi do więzienia. Więc to lepiej było dmuchać na zimne po prostu. Tak jak wspominałem, z tego nakładu 10 tysięcy, kilkaset nie dostało się we właściwe ręce, bo nadszedł rok 1984, który był pewną cezurą w historii „Solidarności Walczącej” we Wrocławiu. Jeden z..., jedna z osób zaaresztowanych ze ścisłego jej kierownictwa, nie wytrzymała i zaczęła rzucać nazwiskami. Oczywiście Paweł został dołączony do listy, a ja jako osoba, która się skontaktowała z Pawłem, też trafiłem na tę listę. No i któregoś pięknego ranka o 6:00 rano zadzwonił dzwonek do drzwi. Więc ja, wiedząc co to jest, co jest grane, moja pierwsza reakcja była: „Okej, muszę ostrzec znajomych, że Służba Bezpieczeństwa do mnie stuka”. Więc proszę sobie wyobrazić dziesiąte piętro na Popowicach. Ja wychodzę na balkon, przechodzę pomiędzy balustradami balkonu, gdzie mając pod sobą 10 pięter, do balkonu sąsiada, stukam do ich drzwi, budzę ich, nie mają pojęcia, co się dzieje i mówię: „Czy mogę skorzystać z waszego telefonu?” No i dzwonię do znajomych, oni mówią: „Tak, u nas właśnie Służba Bezpieczeństwa jest w środku”. Tak że moja ekwilibrystyka alpinistyczna nie pomogła, ale wróciłem, żeby było śmieszniej, Służba Bezpieczeństwa obserwowała budynek i przekazała informacje agentom, którzy momentalnie weszli do mieszkania sąsiadów, którzy nic nie mieli podejrzanego i skupili się na mnie. No i niestety, jak około 200–300 egzemplarzy ze znaczkami, głównie Lecha Wałęsy, wpadło wtedy w ich ręce. No i tak jak powiedziałem, to był dzień, kiedy według naszych szacunków to było przynajmniej 30 do 50 równoległych zatrzymań, więc zostaliśmy przewiezieni do aresztu na ulicy Łąkowej, gdzie nas początkowo trzymano w potwornym ścisku, po czym rozczłonkowano po celach, bardzo podstawowe, prymitywne warunki. No i to był jeden z tych, na szczęście z tego, co mogę się teraz zorientować, nie byłem zaklasyfikowany jako ktoś, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o czymkolwiek, poza tym, że jestem kolegą Pawła, więc nie byłem na... Nie postawiono mi konkretnych zarzutów. Tym niemniej starano się, między innymi Służba Bezpieczeństwa zastosowała metodę akustycznego bicia po uszach, żeby mnie zaszokować i może wyciągnąć coś w ten sposób, ale nic to nie przyniosło, więc po 48 godzinach wróciłem z powrotem. To był pierwszy raz, no a później to już wiadomo, że było trzeba trochę bardziej uważać i byłem zatrzymywany jeszcze dwukrotnie. Takie częściowo humorystyczne, i tego już nie pamiętałem do niedawna, było zatrzymanie w pracy, ponieważ w 1984 roku skończyłem studia i zostałem zatrudniony w Instytucie Informatyki. No więc smutni panowie przyszli i jak weszli, to podobno jeden z asystentów, który był tak... trzymał się z daleka, był bardzo porządny, ale trzymał się z daleka, mówi: „A mówiłem Zdzichowi, żeby nie trzymał kalendarza z Solidarnością na swoim biurku”. Tak jakby to było źródłem moich kłopotów. Ja w międzyczasie tylko zdążyłem szepnąć ówczesnemu dyrektorowi

Instytutu: „Proszę przekazać, w jakikolwiek pan sposób może, tacie, że przyszli po mnie, żeby wyczyścić mieszkanie ze wszystkich obciążających składników”. No i rzeczywiście przeszło to do zajęcia mojej promotorki, pani Ewy Gurbiel, która, nie wiem jak się skontaktowała z tatą, czy taksówkę wzięła od razu, bo oczywiście dzwonienie to nie jest dobra metoda w tym momencie, ale też skończyło się na 48 godzinach. No, metody Służby [Bezpieczeństwa] były najróżniejsze, bardzo często psychologiczne na przykład pytano mnie: „Proszę wymienić wszystkich swoich kolegów ze studiów”. No, chodziło o to, czy ja kogoś omijam, bo wiadomo, człowiek się boi wymienić nazwisko, więc ja w tym momencie sobie wewnętrznie uporządkowałem listę alfabetycznie i podałem wszystkich alfabetycznie od A do Z. No nic z tego nie mieli. No taka, takie było, to była metoda zastraszania, przypominania, że my jesteśmy, że tutaj wam, nic wam się nie uda. No, to były po prostu takie czasy. Tym niemniej postawa ludzi, ludzie nie dawali się, na przykład mój tato, który był pracownikiem uniwersytetu od dziesiątek lat, w którymś momencie władza starała się wysondować, czy można by spacyfikować wewnętrznie uniwersytet poprzez wprowadzenie lojalek, wymogu zatrudnienia, żeby każdy podpisywał deklarację lojalności wobec władzy PZPR-u i tak dalej. No więc tato przyszedł z taką wiadomością do mnie i powiedział: „Słuchaj, bądź przygotowany, ja nic takiego nie podpiszę”. Ponieważ, zdaje mi się, że wewnętrzne wtyki na uniwersytecie zorientowały się, że prawie nikt tego nie podpiszę, temat został zarzucony. Tym niemniej, no, takie sytuacje też istniały. Jeszcze a propos wiadomości, to też mój tato miał dowcip na każdą sytuację, bo dowcip był jednym z orężów przeżycia w tym czasie. Mówi: „Słuchaj, wiesz, jak dzielą się wiadomości w telewizji? Na prawdziwe, prawdopodobne i pozostałe?”. Ja mówię: „No, dobrze, a które są które?”. „No, prawdziwe to są nekrologi, prawdopodobne to jest prognoza pogody, no i są pozostałe”. Tak że też tak można by charakteryzować działalność oficjalnej telewizji w tym czasie. To by było w największym skrócie, takie kamienie milowe działania. Oczywiście tak jak mówię, to były dziesiątki osób, których ja nie znałem i nie chciałem znać. Tak samo ze strony Pawła to były dziesiątki osób. Kiedy było coś trzeba przynieść, to w czasie, gdy Kornel ukrywał się niedaleko nas, to zajmowałem się tym, ale tak jak mówię, ja zawsze starałem się trzymać na uboczu, co do pewnego czasu, do momentu, kiedy nie zostałem skorelowany z Pawłem, jako osoba z kierunku podejrzeń, to przynosiło skutek. I teraz można by zapytać, czy było warto, prawda? No, bo to były nasze czasy młodzieńcze, zamiast chodzić na randki, chodzić do kina, my traciliśmy, traciliśmy..., zużywaliśmy naszą młodzieńczą energię na wszystkie te rzeczy, o których tu opisywałem. Ja muszę powiedzieć, oczywiście, że było warto, ale zaraz powiem dlaczego, ale muszę powiedzieć, że ten okres nauczył mnie wielu rzeczy. Mianowicie przekonałem się, że im więcej ma się obowiązków, tym lepiej się je wykonuje. Krótko mówiąc, potrafiłem łączyć działalność konspiracyjną z przewyciężaniem strachu, z pisaniem po nocach matryc do publikacji, z egzaminami końcowymi. Bo trzeba też przypomnieć, że działalność konspiracyjna mogła się skończyć relegowaniem z uczelni. To zależało w dużej mierze na szczęście od uczelni, ale mogło. Tym niemniej z moich szacunków pamiętam, że mniej więcej jedna trzecia moich kolegów ze studiów miała kontakt z władzami w sensie albo aresztowania, albo czasu spędzonego w więzieniu, albo internowania, albo rewizji. Przynajmniej jedna trzecia, więc to był bardzo znaczący... Pytanie jest oczywiście – niewykluczone, że druga, jedna trzecia robiła to samo, tylko uniknęła tego losu, ale to procent osób, który pomagał strukturom był bardzo znaczący. I tak jak powiedziałem, nauczyło mnie to lepszej gospodarki czasowej, ciągłej adaptacji, bo tu nie można było siąść na fotelu i trzeba było zawsze..., co będzie dalej. Doskonale to ujął Paweł w swoim artykule, w jednym z artykułów takich luźniejszych, który opisywał realia życia podziemnego. Artykuł nazywał się „Dzień spekulanta”, bo trzeba też przypomnieć młodszym słuchaczom, że w tym czasie nie było gospodarki wolnorynkowej i każdy, kto myślał w terminach: „No, mam temat do wykonania, tu jest mój kapitał początkowy, taki będzie mój margines zysku...”. Każda osoba,

która działała, która w takich kategoriach myślała, była określana, przylepiano jej łatkę spekulanta. No więc Paweł był tym spekulantem, który rozprowadzał niezależne publikacje i znaczki. No i tam też uhonorował mnie oczywiście pod pseudonimem, i on był pod pseudonimem, ja byłem pseudonimem i mówi, że wchodzi do mieszkania, które się otwiera bezszelestnie, bo ja oczywiście widzę, że winda podjeżdża, więc w nerwach zawsze sprawdzam, co podjeżdża. Notabene przez 5 do 10 lat, po zakończeniu stanu wojennego, miałem bardzo nerwową reakcję na każdy dzwonek do drzwi. To przynajmniej 10 lat mi to zajęło, żeby jakoś się uspokoić po tym. Ale Paweł wchodzi i mówi: „Możesz ściszyć tego Rachmaninowa, bo sąsiedzi na ósmym piętrze go słyszą”. Ja miałem przewrażliwienie na podłuchy, więc oczywiście chodziło o to, żeby była jakaś muzyka w tym w tle. Więc ja od razu mówię: „Słuchaj, tam jakaś nyska stoi, tutaj ktoś reperuje swojego Fiata od wczesnego ranka”. „No, słuchaj, to niekoniecznie musi być Służba Bezpieczeństwa, a jeżeli jest, to tu mieszka tysiąc osób w tym bloku”. No i rzeczywiście jego rada była, to rzeczywiście była też metoda na przetrwanie, kiedy go pytałem: „Słuchaj Paweł, jak sobie radzisz z podłuchami?” Powiedział: „Bardzo prosto – polubić. Po prostu przyjmij, to jest fakt, to jest część twojego życia i nie masz na to wpływu, więc po prostu musisz je polubić”. Oczywiście „Solidarność Walcząca” miała swoją metodę, skanery, które pozwalały przewidywać poczynania Służby Bezpieczeństwa, czy ktoś jest na podłuchu, czy nie. Tak że to odnośnie tych realiów. Gdzie i kiedy ukazał się ten artykuł? Mam jego kopię, bo na szczęście Paweł, sądzę, że nie tylko Paweł, to wszystko zostało ucyfrowione, tak że on mi zrobił kserokopię tego, coś co już jest. Tak że ja znajdę, jeszcze nie pamiętam nazwy. Artykuł był bardzo dowcipny. A propos, Paweł miał również bardzo dobre pióro i dużo energii. Krótko mówiąc, w którymś momencie stwierdził, że idąc śladem późniejszych prezydentów Stanów Zjednoczonych, że: „Co jest najważniejsze w funkcjonowaniu kraju? Ekonomia, prawda? Ekonomia, głupcze”. W związku z czym zaczął propagować ideę wolnego rynku. To znowu trzeba przypomnieć młodszym słuchaczom, że to było pojęcie abstrakcyjne w gospodarce socjalistycznej, bo w tych czasach wszystkiemu się przylepiało przymiotnik socjalistyczny. Była gospodarka socjalistyczna, była demokracja socjalistyczna. A propos to kolejny dowcip mojego taty: „Czym się różni demokracja od demokracji socjalistycznej?” Odpowiedź jest prosta. Tym, czym się różni krzesło od krzesła elektrycznego. No więc to a propos. Więc nie było pojęcia, dopiero ta ustawa Wilczka zapoczątkowała jakieś zmiany w tym kierunku, ale Paweł starał się otworzyć ludziom oczy na fakt, że trzeba ratować tonącą gospodarkę polską i trzeba po prostu zaadoptować niektóre modele tutaj. W związku z czym zainicjował swoje własne pismo podziemne pod nazwą „Replika”, gdzie on był jednym z głównych redaktorów. Ja oczywiście przygotowałem matrycę do tego. Oczywiście, żeby uhonorować jego i żeby zdobyć dodatkowe fundusze, mieliśmy też znaczek z nazwą pisma. Tak że to wszystko było bardzo ładnie, jako spekulanci tego czasu, to było wszystko bardzo ładnie spięte ze sobą. Ciągnąc temat końcowy, to się zastanawiam, dlaczego myśmy to robili? No więc, prawdę mówiąc nikt z nas się za bardzo nad tym nie zastanawiał. To była kwestia, po prostu, takie było napięcie społeczne w tym czasie w Polsce, tak dużo ludzi nie zgadzało się na to co, na tę rzeczywistość, że to była nasza reakcja. I nawet wiedząc, że nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia, jak potoczy się historia, że w ciągu następnych 8 lat system upadnie, znaczy nie upadnie, przepoczwarzy się, może powiedzieć lepiej, i nikt, i tutaj z wyjątkiem, jak czytałem autobiografię Kornela, z wyjątkiem Kornela, który w rozmowach ze swoimi znajomymi i politykami przepowiadał upadek, ale nikt mu nie wierzył. Wręcz wyśmiewano go, wręcz, jak chcesz obalić komunizm, tymi karteczkami, tymi znaczkami, okazuje się, że to właśnie była metoda, która utrzymywała te masy w nieposłuszeństwie i pozwoliła przełamać system. Co nam pomogło na pewno? Uodpornienie na propagandę. Już na początku „Solidarności” było bardzo częste, i też było oczywiście zamalowywane przez władze, pisanie wielkich napisów: „Prasa kłamie”. Otóż to był aksjomat, żeby bez

uświadomienia sobie, że to, co się czyta w gazetach nie odzwierciedla rzeczywistości, to była podstawa do dalszego działania. Więc tego typu..., w chwili obecnej też to jest ważne, żeby nie wierzyć wszystkiemu, co się czyta na internecie, bo wiele rzeczy jest po prostu fałszywymi informacjami. A wtedy to było prostsze, bo zalew informacji był mniejszy, tym niemniej bardzo ciężko było się przeciwstawić tej propagandzie, chyba że człowiek właśnie ustalił: „Mój aksjomat jest prasa kłamie, telewizja kłamie. Trzeba szukać wiadomości gdzie indziej”. I tak jak powiedziałem, skala oporu była na pewno elementem, który przyczynił się do zmiany systemu w roku 1989. Bardzo mnie..., byłem bardzo wzruszony, kiedy parę lat temu skontaktowali się ze mną byli przyjaciele, głównie Paweł, i okazało się, że zostałem uhonorowany Krzyżem Wolności i Solidarności „Solidarności Walczącej” [fakt. Krzyżem Solidarności Walczącej]. Oczywiście 30 lat wcześniej nikt z nas nie wypinał piersi po medale. Wiadomo było, że ktoś może skończyć więzieniem, w moim przypadku zatrzymaniami, pobiciem, nerwami, ale po prostu robiliśmy to, co trzeba było robić w danym momencie. I przepięknie to opisał Zbigniew Herbert: „To była kwestia smaku. To nie wymagało wielkiego charakteru. Mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi...”. Bo rzeczywiście wystarczyło, tak jak powiedziałem, zadzwonić do sąsiada po drugiej stronie korytarza, przezwyciężyć strach. To była odrobina niezbędnej odwagi. Ale w gruncie rzeczy to była sprawa smaku, bo to był ten, my wszyscy podejmujemy wybory i to był nasz wybór. Nasz smak był taki, że nie mogliśmy udawać, że tego nie ma. Trzeba było się temu przeciwstawiać. I tak jak mówię, smaku, tak jak mówi wielki poeta, który każe: „...wyjść, skrzywić się, wycedzić szyderstwo”. W naszym przypadku zamiast szyderstwa były dowcipy, które były nieocenionym orężem. I to była nasza odmowa, niezgoda i upór. Tak jak mówię, poeta jest wręcz genialny. I tak patrząc w perspektywie, jak ja bym się charakteryzował? No ja byłem szeregowym działaczem podziemia, który po czterdziestu latach został wyróżniony możliwością opowiedzenia swojej historii w nadziei, że będzie inspiracją dla młodego pokolenia do podejmowania wyborów w życiu, bo w życiu musimy zawsze, nikt za nas nie ma podjąć decyzji. I chodzi o to, żeby te wybory odzwierciedlały, co jest naprawdę ważne w życiu i co jest ważne dla Polski jako suwerennego kraju na mapie Europy i świata. Proszę opowiedzieć, jak potem się układały pana losy, po zakończeniu, po 1989 roku. Więc powiem tak. Oczywiście widać było te galopujące przemiany, ale ja przez jakiś czas byłem w tym kokonie oficjalnego nurtu informacyjnego, czyli „Tygodnika Solidarność”, później „Gazety Wyborczej”, i pamiętam, że był dla mnie szokiem komentarz, który nie usłyszałem osobiście od Kornela, ale jego komentarz na temat Okrągłego Stołu, że to była zdrada, więc za bardzo nie rozumiałem wtedy, o co mu chodzi. No przecież taka piękna rzecz się dzieje, a on to nazywa zdradą i dopiero zrozumiałem to wiele lat później. Tym niemniej oczywiście to, co nastąpiło po stanie wojennym i jego zniesieniu i pierwsze częściowo wolne wybory, to była bardzo znacząca zmiana w dobrym kierunku, a ja tak patrząc na swoje życie, stwierdziłem, że no tutaj, prawda, już konspiracji nie ma, cenzurę pół roku po obradach Okrągłego Stołu wreszcie zniesiono, życie zaczyna się toczyć swoją ścieżką, więc stwierdziłem, że jest czas na zmianę i korzystając z możliwości, które miałem, jak to mówią, bez większego, bez większych biurokratycznych przeszkód, wyjechałem za granicę, żeby zmienić swoje życie. Poza tym, tak jak powiedziałem, ten stres jednak się odbija na człowieku, więc miałem nadzieję, że wyjeżdżając, troszeczkę odpocznę od tych nerwów. No i tak się skończyło, więc wyjechałem w roku 1991 do Stanów i byłem w bardzo uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ szybko udało mi się znaleźć pracę w zawodzie, jako informatyka. I tu kolejna informacja dla młodsze pokolenia. Przyjechałem do Stanów z takim poczuciem niższości, że ja przyjeżdżam tutaj do mocarstwa z Polski i bardzo szybko przekonałem się, i wszyscy to potwierdzali naokoło mnie, że moje wykształcenie informatyczne z Uniwersytetu Wrocławskiego stawia mnie w 5% absolwentów informatyki w Stanach, najwyższych. Krótko mówiąc, nasze wykształcenie było doskonałe. Ja nie mam się czego obawiać, nie muszę mieć żadnych

kompleksów, ja wiem o wiele więcej niż większość absolwentów, którzy mają licencjat czy rzadko niektórzy mają magisterkę, po prostu w tym czasie, no może to moje otwarcie to, co powiedziałem, że moja zasada jest taka, że jestem otwarty, to po tacie mam, że staram się adoptować, to na pewno pomaga, ale nasze wykształcenie było, i do dzisiaj prawdopodobnie też tak można powiedzieć, doskonałe i bez przeszkód dostałem pracę w sektorze informatycznym w Stanach. No, mam wspaniałą żonę, dwójkę wspaniałych dzieci, mam nadzieję, że sobie kiedyś to przetłumaczą na..., niestety nie są biegli w polskim, przetłumaczą sobie, oczywiście teraz można to robić bezkolidyjnie z pomocą Google'a, i zobaczą realia, jak to było 40 lat temu u taty w kraju ojczystym. Jeszcze może wspomnę o mojej mamie, która mieszka do dnia dzisiejszego w Stanach. Jej drugi mąż był wspaniałym człowiekiem, też wielkim patriotą, niestety zmarł nagle w roku 1990 i to była, jak gdyby nasze drogi się minęły. Ja byłem w drodze do Stanów, a on, będąc na emigracji od 10 lat, korzystając z pierwszej okazji, że granice są otwarte, że można jeździć bez kłopotów, że nie ma już problemu z tym, że zaczną..., zatrzymają na granicy i spytają po co i o co, pojechał do Polski, żeby obejrzeć swoje strony rodzinne. Już niestety nie wrócił, bo zmarł nagle. Ale był kolejnym przykładem po moim dziadku, który jako więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego miał nieprawdopodobną pogodę ducha i optymizm. Tak że to było coś naprawdę, był przywilej z nim rozmawiać.

Tomasz Sikorski: Jakby pan mógł troszeczkę ten temat rozwinąć, to znaczy tak, podać imię i nazwisko, podać numer auschwitzowy, podać fakt, że był w pierwszym transporcie i podać fakt tych jego pamiętników. Tak. Jeśli dobrze pamiętam, numer to było, nie pamiętam, 409? Tak, dobrze pamiętam.

Zdzisław Jarzębowski: No, więc tak. Tadeusz Arecki, urodzony w Krynicy, jako 17-letni chłopak, coś podobnego do mojego dziadka, który wszedł w konspirację przeciwko okupacji niemieckiej, z tym, że on jako 17-letni chłopak się w to uwiązał i został aresztowany przez gestapo, i tak jak pan powiedział, wyjechał z pierwszym transportem do Oświęcimia, do Auschwitz, przepraszam. No cóż, jak nadeszły lata 90., przeżył, na szczęście, oczywiście wiadomo, przeżył i jego losy skierowały go do Stanów i później wrócił do Polski i w tym czasie nie wiem, czy coś już przewidywał, ale zaczął gorączkowo spisywać swoje wspomnienia. Miał doskonałą pamięć, bo potrafił cytować wyzwiska esesmanów w areszcie śledczym w 1940 roku i tak dalej. Spisywać swoje wspomnienia, to już były czasy, kiedy można było kupić komputer osobisty IBM PC XT, który miał 20 megabajtów pamięci a propos, co było nieprawdopodobną ilością, i te wspomnienia dociągnął do momentu, kiedy przekroczył bramę Auschwitz, ale niestety właśnie jego śmierć przerwała to także w tym momencie. Już miał konspekt rozrysowany, z którego wynikało, że między innymi zachorował na tyfus, że go przywieziono do innego niemieckiego obozu koncentracyjnego na terenie Niemiec... Tym niemniej jego wspomnienia najpierw zostały znalezione przez rodzinę naszą we Wrocławiu i zamieszczone na jakimś prywatnym portalu na internecie, po czym ja odkryłem drugą kopię u mamy w mieszkaniu w Pensylwanii i stwierdziłem, że to jest fascynująca lektura i przesałem je do pana z prośbą o to, żeby... Sądzę, że na przykład jest tam bardzo dużo nazwisk z Krynicy i sądzą, że to jest... Krynica ma bardzo prężny lokalny ośrodek, gdzie ludzie zajmują się swoją własną historią i sądzą, że tam bardzo wiele osób znalazło informacje o sobie wręcz. Jest, jest, jest... A w ogóle pan Arecki był bardzo uzdolnionym, był bardzo cenionym inżynierem na wielką skalę, typu lotniska czy cukrownie i tak dalej, ale również prywatnie był bardzo uzdolnionym malarzem. Pozostawił po sobie kilkanaście obrazów. Jak też widać, że jego talent pisarski, no, mógłby się rozwinąć, gdyby miał czas dokończyć swój pamiętnik, bo jego wspomnienie

się czyta, czyta... Jestem zazdrosny, że to można mieć taką rękę do pisania. Tak że jest to kolejny przykład wielkiego patrioty, przedwcześnie zmarłego. Wracając do produkcji znaczków, które jak przypominam, były..., noszenie ich było wielkim symbolem odwagi cywilnej, ale były one bardzo istotnym składnikiem przyciągania kapitału gospodarce wolnorynkowej „Solidarności Walczącej”. Więc pierwszym znaczkiem to był znaczek upamiętniający Lecha Wałęsę. I to było, tak jak powiedziałem, zrobione ręcznie przez wybitnego plastyka i ten znaczek poszedł w kilku tysiącach sztuk nakładu. Minus te dwieście, które trafiły w ręce Służby Bezpieczeństwa. No tutaj był jak gdyby ciąg dalszy, spotkanie Wałęsy z papieżem Janem Pawłem II. Tutaj był znaczek dla wspomnienia produkcji niezależnego pisma „Replika” Pawła Falickiego. Tutaj był znaczek, też wielka odwaga – „Jestem bezpartyjny”, bo trzeba przypomnieć, że nie można było zrobić kariery w tych czasach bez członkostwa w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tutaj znaczek po zabójstwie księdza Popiełuszki, mamy znaczek, i tutaj ten, który jest moim mottem, mam nadzieję, będzie cały życie: „Dobrem, zło zwyciężaj!”. Tutaj mamy Polskę w żałobie, w stanie wojennym. No i na koniec po 1984 roku zrobiliśmy produkcję, która się bardzo podobała, „Symbol Kozakiewicza” [tzw. gest Kozakiewicza]. Więc to byłoby tak próbka tego, co się działo na wolnym rynku, prowadzone przez tych tak zwanych spekulantów „Solidarności Walczącej”.